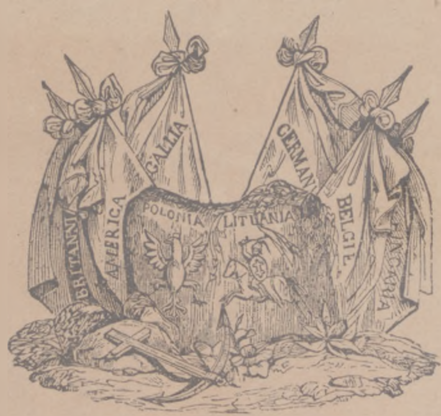
TYGODNIK

POWIEŚCIOWO-NAUKOWY.

ROCZNIK DRUGI.

WŁADYSŁAW DYNIEWICZ, WYDAWCA I WŁAŚCICIEL.



CHICAGO, ILLINOIS.

1886.

TYGODNIK
POWIEŚCIOWO-NAUKOWY.

WYCHODZI CO CZWARTEK KAŻDEGO TYGODNIA.

W. DYNIEWICZ, WYDAWCA I WŁAŚCICIEL, 532 NOBLE STREET, CHICAGO, ILLS.

PRENUMERATA ROCZNA WYNOSI:

DLA NAPRZÓD PŁATNYCH ABONENTÓW „GAZETY POLSKIEJ"		DLA TYCH, KTÓRZY NIE ABONUJĄ „GAZETY POLSKIEJ"	
W Stanach Zjednoczonych i Canadzie	$1.00	W Stanach Zjednoczonych i Canadzie	$2.00
Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej i Azyi	1.50	Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej i Azyi	2.50

PRENUMERATĘ PRZYJMUJE SIĘ JEDYNIE NA CAŁY ROK, I MUSI BYĆ NAPRZÓD OPŁACONĄ.

Entered at the Post-Office at Chicago, Illinois, as Second-Class Matter.

No. 2. *Chicago, Ills., 9 Lipca, 1885 r.* Rok II.

TRZY MIESIACE.

ZE ZNALEZIONEGO RĘKOPISMU.

WYDAŁ

JOZEF NARZYMSKI.

(Ciąg dalszy.)

Przed domem spostrzegłem ich twarze blade i ponure. Alfred gryzł wargi, Leonowi pot kroplami spływał.

— Szaleństwo się stało! — mruknął Alfred. — Tyś z nas zabójców zrobił Karolu...

— To mord — szepnął Leon.

— Na wszystko co święte, żadnych wyrzutów sobie, i nikomu ani słowa... tak być musiało... i pojechałem do domu...

Warszawa 17 marca.

Oto już piąty dzień nowego mego życia...Jestże to życiem? Nie... to jakaś dziwna egzystencya, której określić niepodobna... Jestem niby jak dawniej, chodzę, jem, śpię... a jednak wszystko to na to tylko, żeby dać cel kuli, gdy chwila przyjdzie... To dziwnie... Dla czego jednak stan ten tak mnie męczy?... Rozumujmy. Wszak każdy wie, że umrzeć musi... a więc pod tym względem żadna zmiana nie zaszła... Co więcej, umrzeć można każdej chwili... nie za trzy miesiące, ale dziś... jutro... natychmiast... Jednak ludzie żyją... robią plany, są szczęśliwi... dla czegóż ja?... Mam trzy miesiące!... Pokazuje się więc, że właśnie ta niewiadomość ostatniej



Kordecki na murach Częstochowy (Strona 32.)

chwili... jest ożywczą myślą człowieka... To nielogicznie, bo nareszcie możnaby się daleko lepiej urządzić, wiedząc jak długo żyć się będzie, a jednak tak jest... Na mnie dowód... Gdyby ludzie rodząc się przynosili na czoło dzień i rok swej śmierci, życie byłoby piekłem, a świat domem waryatów... Wszak mogłem dostać tyfusu czy cholery, czy spaść z konia, każdego czasu skończyć mogłem... Czemużem nie myślał o tem?... Czemu wyraz: koniec nie majaczył ciągle przed oczyma memi, czemu na świat patrzyłem pogodnie i wesoło?... Czemu?... bom nie był pewny!... Niepewność to najwyższy dar Boży... bo niepewność, to nadzieja, to marzenie, to ideał... A gdzie jak u mnie nadziei nie ma, tam Dante początek piekła zobaczył...

Rzeczywiście, nie przypuszczałem nigdy, żeby pewność śmierci w pewnym dniu i godzinie tak ciężką była i przygniatającą...

Sądzę zresztą, że to przejdzie... Do wszystkiego przyzwyczaić się można... Rozum zwycięży zwolna słabości... Człowiek rozsądku i charakteru powinien umieć spokojnie uledz żelaznej konieczności... Iluż ludzi umiera codziennie... ilu ginie na wojnie... Mnie spotkał ten wypadek... cóż to nadzwyczajnego?... Inna forma... rzecz ta sama...

Szczęśliwy jestem, że matki nie ma chwilowo w Warszawie... nim wróci, odzyskam równowagę... Przecież powinienem pamiętać, że jestem człowiekiem... Drzeć na myśl śmierci... blednąc... hańba!...

Widziałem w Rzymie egzekucyę nie zbrodniarza... Skazany, człowiek młody, szlachetny, spokojnie patrzał w lufy karabinów, i nie zbladł, nie drgnął, oka nie zmrużył... A przecież był pewny, że ginie... Nie dziwiłem mu się, bo czułem, że w jego położeniu byłbym takim jak on... Dla czegoż więc dziś?... Wszak tu i tam śmierć... tylko śmierć... nic innego tylko śmierć.. Jedyna różnica, że on stał parę minut, a ja... trzy miesiące!... Ale człowiek rzeczywiście odważny bez wysilenia, bez sztucznego spokoju, spoglądać powinien śmierci w oczy... zawsze i całe życie... a więc krócej czy dłużej... to prawie jedno... Tak!... trzeba się zwyciężyć!....

Warszawa 22 marca.

Czuję, że mimo całego wysilenia i baczności nie zupełnie panuję nad sobą... W teoryi odniosłem niby zwycięztwo, ale rzeczywiście ta data fatalna stoi mi ciągle w mózgu, i widzę ją wszędzie... Co gorzej, liczenie dni i godzin i minut pozostałych mi jeszcze zaczyna się u mnie w manię przeradzać... Z początku kilkadziesiąt razy na dzień brałem kalendarz w rękę i obliczałem... Dziś do takiej już doszedłem wprawy, że spojrzawszy na zegarek, natychmiast mam cyfry gotowe... Czuję, że to śmiesznie.. dziecinnie... a jednak c'est plus fort que moi... Gdy rozmawiam z kim, przychodzi mi niewymuszona ochota wiedzieć, ile mam jeszcze czasu... walczę ze sobą... wstrzymuję się... nie ma rady... ręka drży, sama sięga po zegarek ... i muszę chcąc nie chcąc rzucić okiem na chronometr... Walka, jaka się wtedy we mnie odbywa, musi mnie robić zaambarasowanym... to zaglądanie do zegarka ośmiesza mnie ...

Wczoraj dwa razy go wydobyłem w ciągu półgodzinnej rozmowy z panią Heleną...

— Spieszno panu? — rzekła — nie żenuj się pan...

— Komuż może być pilno gdy z panią rozmawia? — zaprotestowałem.

— I co chwila zagląda na zegarek!... Wolę już poczciwe i szczere ziewnięcie...

— Niech mi pani wierzy, że gdybym mógł, byłbym czas zatrzymał...

Ah! jakże to powiedziałem szczerze!...

— Oh! czyny więcej znaczą jak słowa!... Znudziłam pana, przepraszam i obiecuję poprawę...

Prócz tego czuję, że humor mój nie równy... Często wpadam wśród ludzi w zamyślenie, a gdy się spostrzegę, lękam się by mnie kto nie odgadł, wstydzę się własnej słabości i afektuję wesołość, która znów, jak każda rzecz afektowana, jest nienaturalną i samego mnie boli... Sądziłem, że od dziecka wychowany w salonach, nauczyłem się panować nad sobą... pokazuje się, że ciągła i monotonna choroba moralna zwycięża nawet polor...

Wszystko to razem każe mi unikać towarzystwa.. a z drugiej strony... lękam się samotności...

Warszawa 24 marca.

Otóż i dwunasty już dzień upływa ... Dwanaście dni to nic i bardzo wiele... Zdaje mi się, że mignęły jak błyskawica, a jednak ileżem ja wycierpiał w tym czasie!... I żal mi ich i nie chciałbym wrócić do ich początku... Gdy-

by się to tak smutnie skończyć nie miało, stan mój nie byłby bez uroku... Inaczej zupełnie patrzę na wszystko... czuję się już niedaleko wyłączonym z koła ludzi żywych... ich drobnostki, spory, walki, ta cała gra namiętności którą mnie tak zajmowała niedawno, dziś się wydaje prawie dziecinną... A jednak, rzecz dziwna, chciałbym być na ich miejscu... Wszystko mi się lepszem, piękniejszem wydaje... Widząc bawiących się ludzi, sam się nie bawię, ale zazdroszczę im... pojmuję ich... Nie!... można cykutę wypić z Sokratesowym spokojem, ale życie to rzecz piękna... Precz wstyd fałszywy!... mnie żal życia!... Oto tam, naprzeciwko mego okna stoi mały ulicznik... obdarty jest, zabłocony... może głodny... Cóżbym dał za to, żeby być nim!... On nie wie kiedy umrze... a więc żyje...

Warszawa 28 marca.

Dziś dopiero po raz pierwszy od sceny balkonowej spotkałem się z Wirskiemi z blizka... Nie wiedziałem, że u jenerałowej bywają. Zresztą nie mam powodu unikania ich. Ciekawy byłem, jak też ten człowiek będzie dziś patrzył na mnie, i zebrałem wszystkie siły, żeby mu satysfakcyi nie zrobić.

Jakoż tym razem ja odniosłem zwycięztwo... Gdy mnie spostrzegł zmięszał się lekko i spojrzał bystrym rzutem oka na żonę, która na mój widok lekko się zarumieniła. Ponieważ cała nasza sprawa jest tajemnicą, więc ukłoniliśmy się sobie z daleka. Jego oko błyszczało nienawiścią, ja, sądzę, byłem zupełnie obojętny.

Ten człowiek o instynktach zwierzęcia musi szaleć z miłości do żony... a jest przekonany, że ona mnie kocha... Wścieka się z zazdrości... a nie mogąc jej zabić — bo cóżby mu na świecie zostało, chciał mnie albo siebie usunąć... To jednak charakter!... lubię te wielkie namiętności, które po nad poziom wychodzą...

Umyślnie zbliżyłem się do pani Julii... Nic nie mam do stracenia... Uważałem go w tej chwili... Piekło było w szerokiej piersi tego dzikiego... Musiał cierpieć okropnie i szalenie mnie nienawidzieć...

To mnie pocieszyło trochę... Piekielny pomysł tego człowieka zabija mnie... ale on cierpi daleko więcej... Jak on żałować musi, że tak odległy termin naznaczył!... Znać mu był potrzebnym do czegoś, gdyby był czarną gałkę wyciągnął...

Oh! dla niego samego dotrzymam do ostatniej chwili. Ani sekundy panu nie daruję... Parole d'honneur... Mimowolna sprawczyni mej zguby nie domyśla się oczywiście niczego... Jest przekonana widocznie, że wróciłem spokojnie do domu...

Julia była zażenowana moją obecnością, ale i wzruszona trochę. Sądzi kobiecinka, że między nami jest straszna tajemnica. Skok mój i milczenie odtąd zrobiło niezawodnie ze mnie ideał... Po kilku spojrzeniach wnoszę, że chwilowy kaprys zamienił się w inne, rzewniejsze uczucie... Na chwilę błysła mi myśl skorzystania z tego... Byłoby to, co się zowie zemsta... i najlepsze sprawdzenie przysłowia: „Złapał Kozak Tatarzyna, a Tatarzyn za łeb trzyma". Moja szalona fantazya narysowała mi ten dramat krótki i gwałtowny barwami pełnemi ognia... On... kat mój... zostaje ukarany straszliwie... Bierze mi życie... ja mu więcej jak życie tymczasem... A co za przejścia... a ile wrażeń...

Ale to trwało chwilę tylko... Julia jest uczciwą kobietą... Kochając męża, byłaby nawet myśl zachowała niepokalaną... Namiętność wielka usprawiedliwia wszystko, ale ja jej nie kochałem, i miałżem łamać to życie smutne ale znośne, brudzić opinię tej kobiety tylko dla tryumfu nad moim katem?.. tylko dla własnej zemsty?... A cóż się z nią stanie po 12 czerwca?... Nie... nigdy... W dość więc długiej rozmowie z panią Wirską, której długość była moją zemstą, a której ona mimo bojaźni przerwać i skrócić nie chciała, byłem raczej uspakajającym, jak drażniącym... Bogiem a prawdą nie tyle jednak, żeby ją zniechęcić zupełnie... Może to źle, ale pragnę, żeby moja pamięć i coś więcej jak pamięć żyła w jej sercu długo... długo... Wszak z jej winy, za nią ginę... a to zawsze pociesza, że mój obraz stać będzie wiecznie między katem moim i kobietą, za której miłość onby duszę oddał...

Nie tryumfuj bardzo, panie Wirski!... Zamordowany przez ciebie, straszniejszym może będę jak żywy!...

Cała ta scena u jenerałowej pokrzepiła mnie i ożywiła trochę... Wypadek mój, dotąd prozaiczny i oburzająco głupi, nabrał pewnej rozmaitości... Szedłem jak cielę na rzeź... dziś

wiem, że umarły, nie umrę zupełnie... Julia się domyśli prawdy, znienawidzi mordercę... Wirski odpokutuje strasznie... Ząb za ząb... Myśl zemsty w obec śmierci?... Mój Boże... szczery jestem... Może powinienbym ten ustęp wykreślić... ale nie... Wypowiem wszystko...

Warszawa 4 kwietnia.

Wczoraj miałem chwilę przyjemną, chwilę wytchnienia. Artur zaprosił nas kilkunastu na polowanie, na słomki. Oczywiście był to tylko pretekst do hulanki swobodnej. Jednakże przed zachodem słońca pojechaliśmy nad błota i stanęliśmy na stanowiskach. Zostałem sam... Wiedząc z góry, że słomka ciągnąć nie będzie, siadłem sobie na spróchniałym pieńku i rozmarzyłem się. Znacie wy wieczór kwietniowy po dniu pięknym? Niebo było ciemne od wschodu i z granatu przechodziło prawie w fiolet ku zachodowi... Z tyłu za mną las sosnowy, ciemny już zupełnie, przedemną daleko — jak oko sięgnąć mogło, nizkie krzaki rokiciny... Zmrok oblewał wszystko, wszystkiemu nadawał koloryt szarawy, łączył kontury i z rozmaitych części robił całość pełną tajemnicy... Resztki jednak dziennego światła różanemi blaskami uwydatniały tu i owdzie prątek krzewiny lub bok sosny... Cisza była nieprzerwana niczem, a chłód wiosenny, niosący w sobie już zapowiedź życia i wiosny, podnosił się z wilgotnej ziemi.

Nie rozumując, upajałem się zwolna tem wszystkiem... ale natychmiast moja idée fixe zawierciła w mózgu... tym jednak razem bez bólu... Zdawało mi się, że to co się stać ma, już się stało, i że oto ja, niegdyś żyjący na świecie, błądzę sobie i dumam w tej ciszy i półcieniach tajemniczych, że jestem jakąś cząstką tej całości... Opanował mnie dziwny jakiś, smutny może, ale uroczy spokój. Wszystkie moje ludzkie zachcenia i porywy uciszyły się na chwilę, i zdawało mi się, żem się rozpłynął w tej żywicznej woni, i że sam ze mgły jestem... Zresztą dziś niesłychanie mi trudno zdać sprawę z wrażenia tego... Wiem tylko, że mi było dziwnie dobrze. Zdarzenie to dało mi wiele do myślenia... Czyżby zbliżenie się do natury, pojenie się jej cudami było zdolne nawet moją chorobę złagodzić?... Czy człowiek dla tego, że wraca do wszechświata, czuje się spokojniejszym, będąc z nim sam na sam?... Kto wie, czy ostatnich tygodni życia nie spędzę w jakim gdzie lesie lub ustroniu...

Warszawa 9 kwietnia.

Co dzień przecież przeglądam się w lustrze, bo choć jestem upiorem, ubieram się przyzwoicie, choćby na złość Wirskiemu, a jednak nie dostrzegłem żadnej w mej twarzy zmiany. Musi być przecież znaczna, gdy matczysko biedne przelękło się swego pieszczocha...

Ah! ciężkie ja dziś chwile przebyłem!... Matka i Iza wróciły ze wsi na święta, i zaledwie wniesiono lampy, mama, która po każdem niewidzeniu zwykła mi się z admiracyą przypatrywać, spojrzawszy tylko na mnie, załamała ręce i zawołała z przerażeniem:

— Karolu!... co tobie?... Tyś był... ty jesteś chory!... Patrz Iziu!... on nie podobny do siebie...

Zmięszałem się i zacząłem naturalnie dowodzić, że się mam jak najlepiej.

— Ale gdzież tam! wołała niespokojnie, sadzając mnie przy sobie, matka — ty kłamiesz moje dziecię... Patrz Iziu!... jaki on blady, jak oczy mu świecą gorączkowym blaskiem... Ciebie coś spotkało przykrego... bardzo przykrego... może...

I tu zatrzymała się, badawczo patrząc mi w oczy... Nie umiałbym, choćbym chciał, powtórzyć dalszej rozmowy z moją matką. Serce jej równie jak oczy mówiły, że cierpię, że noszę w sobie jakąś fizyczną czy moralną chorobę... Ze zręcznością prawdziwie kobiecą, z czułością matki, z delikatnością chirurga, próbowała wszystkich stron mego serca i duszy. Chciałem zmówić na migrenę, na nerwy, ale ona, która od dnia urodzin badała i śledziła każdy puls mój, domyśliła się od razu, że to coś moralnego.

Szukała więc, badała, dochodziła, na wszystko znajdując lekarstwo, wszystko z góry tłumacząc i usprawiedliwiając... Jakaś namiętność... miłość do kobiety, może takiej, któraby się jej nie podobała, było pierwszym domysłem. Choć serce zapewne drżało, ona jednak tuląc mnie do siebie, uspokajała z góry, tłumacząc, że wszystko da się zrobić, że ona na wszystko się zgodzi itd. Gdym stanowczo zaprzeczył, myślała potem, żem się zgrał, i prawiła mi o zapisach, jakie ma dla mnie...

Ale tego o co chodziło, domyśleć się nie mogła, a ja byłbym raczej natychmiast w łeb sobie strzelił, jak powiedział choć jedno słowo.

Com ja przez te kilka godzin wycierpiał,

Bóg tylko wie, a Wirskiego, który był tej sceny powodem, nienawidzę dziś dziesięć razy więcej, jak dawniej.

Nigdy w życiu nie miałem tajemnic i nie kłamałem przed matką. Dopóki to było możliwem, dopóki anielskość jej i opieka zwalczały ogień mego temperamentu, była ona jedyną powiernicą nawet moich platonicznych afektów studenckich, i umiała je zużytkować ku uszlachetnieniu moich pojęć, na korzyść zapalu do pracy, uwielbienia dla piękna i uszanowania dla kobiety. Gdy z pod jej skrzydeł wyleciałem w świat, i z tego świata przynosiłem takie ślady i taki kurz, któregobym jej nie śmiał pokazać, ona, domyślając się wiele, cierpiąc może po trochu, nigdy jednak nie robiła mi wyrzutów, nigdy badaniami spraw drażliwych do kłamstwa nie zmuszała, tylko zawsze przeciw prądowi temu walczyła, wskazując dobre, piękne i wzniosłe.

Prócz więc kawalerskich awanturek, bez znaczenia zresztą, zawsze i ciągle spowiadałem się matce mej z każdego wrażenia, uczucia, boleści czy zamiaru. Ona, więcej sercem się kierując jak rozumem, łagodnie, delikatnie, miłośnie, ostrożnie prostowała co było krzywego, łagodziła co było za szorstkie, rozdmuchiwała co było szlachetne i zacne. Nie kryłem się przed nią z najszaleńszemi marzeniami, z najboleśniejszem zwątpieniem, bo wiedziałem, że pierwszych nie wyśmieje, że pojmie drugie — wiedziałem, że nigdy i dla żadnych względów nie potępi tego, co naprawdę jest dobre i szlachetne.

I oto, dziś, byłem zmuszony kłamać, wykręcać się, oszukiwać tę, na której łono przywykłem dotąd wylewać najserdeczniejsze i najgłębsze zwierzenia...

Była to tortura okropna — bolesna dla niej — podwójnie straszliwa dla mnie. Z jakąż rozkoszą byłbym jej wyznał wszystko, prosił jej o odwagę do spełnienia czynu, który honor nakazuje, o szczyptę wiary, o przebaczenie... Wiem, że byłaby mi ani na chwilę nie odradzała wykonania obowiązku, ale byłaby umarła prędzej jak ja... Powiedzieć matce, że ukochane jej dziecię musi zginąć za kilka tygodni, to znaczy zabić ją... Na to nie miałem odwagi... Śmierć moja uderzy ją piorunem... Bóg wie co się stanie... ale obowiązki dla Izy, religia, pomogą jej to przenieść... Zresztą fakt spełniony, nietylko w polityce łatwiej się znosi... Ale narazić to serce, dziećmi tylko żyjące, żeby się rozdzierało co dzień... co minutę... co sekundę... przez dwa przeszło miesiące... oh!... nigdy!... nigdy!...

Warszawa 11 kwietnia.

Położenie moje coraz trudniejszem się staje... Za młody jestem, żebym umiał ciągle kłamać słowem i twarzą. Źle grałem moją rolę w obec obcych, a jakże tu oszukać oko matki kochające, dopatrujące tego, czego nikt inny nie odgadnie. Z drugiej strony przybycie dwóch najdroższych mi istot, zachwiało we mnie ten sztuczny spokój, jakim sobie siłą rozumu i logiki wyrobił... Ja je tak kocham!... One tak mnie potrzebują!... Zrywać gwałtownie takie uczucie, jakie mnie wiąże z matką, to okropność... Mnie tak dobrze, tak swobodnie, gdy u nóg jej siedząc przed kominkiem, głowę mą na jej kolana złożę, a ona plącząc i układając moje włosy, mówi do mnie tym metalicznym, serdecznym głosem:

— Dobrze, że dzisiejszy wieczór mamusi swej poświęcisz...

Kto mnie zastąpi przy niej... kto mi zastąpi jej miłość i pieszczoty na tamtym świecie?...

Tamten świat?... jaki?.... Nie, precz te myśli.... dawniej ledwo nie zwaryowałem od nich, a cóż teraz?!.... Przecież tak blizko rozwiązania zagadki jestem....

A Iza?.... Ta moja kochana, zachwycająca blaskiem liliowej piękności siostra.... ta pieszczotka mojego dzieciństwa, słuchaczka cierpliwa i sympatyczna moich uniesień, powiernica planów ambicyi dziecinnej, a dziś duma moja i chwała. Zawsze jasna, zawsze olśniewająca duszy czystością, wszędzie niosąca wesołość i śmiech serdeczny.... niewinności!.... Zresztą, jej przynajmniej nie zostawię samą.... Leon ją kocha.... ale matka!.... Rozedrzeć te dwa serca kochające, urocze chwile świeżego uczucia Izy kirem osłonić i żałobą okryć staruszkę i dziewicę.... A! honor ciężkie czasem obowiązki nakłada!...

Com ja napisał?.... Skarzę się.... w głowie błysła myśl!.... nie!.... nieprawda!... tysiąc razy nieprawda!.... Spełnię com powinien.... ale widzę, że źle ze mną.... Widok matki i siostry rozstroił mnie.... O mało, żem myślą nikczemnikiem nie został.... Strzedz się trzeba...

Warszawa 12 kwietnia.

Dziś Wielkanoc.... dla mnie ostatnia!.... Obchód ten rozstroił mnie jeszcze więcej.... Matka, wedle zwyczaju podając mi kawałek jajka święconego i całując w czoło, rzekła prawie uroczyście:

Oby mój Karol dawniejszy zmartwychwstał także dzisiaj!....

A Iza, która mnie podejrzywa o jakąś nie szczęśliwą miłość, siadłszy przy mnie, niby żartem, ale w gruncie poważnie rzekła:

— Mam ci coś zaproponować Lolu....

— Rozkazuj najdroższa — odpowiedziałem cisnąc ją do siebie — rozkazuj jak najwięcej....

— Teraz czas spowiedzi.... Ty do spowiedzi nie chodzisz.... Więc się wyspowiadaj.... przedemną.... lub przed mamą.... Zobaczysz, że ci to ulży.... Ja po spowiedzi... gdy wszystko wypowiem, jestem tak lekka — tak lekka, że mi się zdaje, iż lada chwila odlecę....

— Ty, moja najdroższa, zawsze jesteś taka....

— Uniżona sługa.... ale nie o mnie idzie.... Ty coś ukrywasz Karolu, a patrz co się z mamą dzieje....

Spojrzałem.... Siedziała przy stole oparta na ręku, a oczy miała wlepione w piękny obraz Matki Bozkiej bolesnej, pod którym wisiała moja miniatura, robiona, gdym miał lat 6 czy 7.

Z oczu jej płynęły dwa strumienie łez grubych i zwolna spadały na koronkowy kołnierz i po czarnej spływały sukni. Serce mi się ścisnęło gwałtownie, wstałem prawie machinalnie, uklękłem u nóg jej, oparłszy czoło na kolanach i zacząłem gorzko płakać....

Nie wiem jak długo to trwało. Czułem tylko delikatną i drzącą dłoń jej na mojej głowie i czułem gorące jej łzy, kroplami spadające na szyję....

Gdym się uspokoił, cichy głos, pełen łez jeszcze, szeptał mi do ucha!

— Dziecię moje!.... Tyś nieszczęśliwy... powiedz.... na miłość Bozką.... powiedz.... powiedz co cię boli!....

Głos ten od kolebki znany, działał na mnie magicznie, podniosłem głowę i otworzyłem usta, żeby mówić.... Chwila, a byłbym ją zabił... Swiatło, jej twarz oprzytomniły mnie....

— Nie mogę! — krzyknąłem z rozpaczą i wybiegłem.

Przy obiedzie i wieczorem matka już nie zaczynała rozmowy...

Pogardzam sobą i nienawidzę się. Miałem się za człowieka, jestem dzieciakiem, mazgajem, niedołęgą.... Żeby nie umieć panować nad sobą!.... Tchórz jestem i basta!.... o cóż chodzi?.... O śmierć i nic więcej.... Dla czego o tem myślę.... Przyjdzie czas, nabiję pistolet i wypalę.... Cóż? Nareszcie mogłem innym sposobem umrzeć!.... I oto, tak niezdarny jestem, że twarzą moją niepokoję matkę i siostrę.... że im zatruwam dni szczęścia.... może ostatnie!.... Inaczej umierają ludzie!.... Nie chcę myśleć.... i nie będę myśleć.... Napiszę datę nad łóżkiem, żebym zupełnie nie zapomniał, ale teraz zapomnieć muszę, a przynajmniej nie myśleć ... Wszak gdy chcę, myślę o tem, o czem chcę.... Czyżby wola była tak słabą, by nawet nad mózgiem nie panować.... Basta! jutro innym jestem człowiekiem....

Musi być późno. Dwunasta akurat.... Zaczyna bić.... Od dziś za dwa miesiące, to jest za dni sześćdziesiąt jeden.... Ach!.... znowuż!.... To szaleństwo!... Wszak przysiągłem sobie nie myśleć o tem!...

Warszawa 15 kwietnia.

W niedzielę oburzony słabością swoją, przysiągłem nie myśleć o tym dniu fatalnym i żyć, jakby cały ten waryacki pojedynek był snem lub fikcyą. Ale możeż człowiek nie myśleć... możeż zapomnieć?.... Nie.... gdyby mógł sobie zakazać tej lub owej myśli, tego lub owego wspomnienia, byłbym więcej jak człowiekiem.... Jednakże są ludzie, którzy umieją coś wmawiać w siebie.... Znam pewną panią, która, gdy jej dziecko umarło, wiedząc o tem, kazała otaczającym ją mówić, że żyje, że wyjechało itd. i to ją uspokoiło.... Patrzałem na nią ze wstrętem, jak na złą, bo rozmyślną waryatkę, lub komedyantkę.... Kto wie jednak, czy nie była szczera.... Gdyby mnie ktoś ciągle gadał, że owo zajście jest wymysłem mojej imaginacyi, kto wie, możebym mu uwierzył....

Ale nie.... przecież szaleńcem nie jestem....

(Dalszy ciąg nastąpi.)

BAŚNIE.

PAN KOŻUSZEK.

Młody jeden wielki pan, mieszkał sobie w pałacu zwyczajnie jako pan, a pod pałacem były piwnice, a w tych piwnicach, beczkami stały pieniądze, a tych pieniędzy tak było wiele, jeszcze ojcowie młodego pana, jakby wodę ze studni, brali i brali, a wybrać nie mogli, i gdy poumierali, jeszcze synowi pozostawili.

Będąc tak bardzo bogatym ów młody pan, żył sobie lepiej niż wojewoda, choć czworką po mieście nie grzmił, bab nie potrącał, żydów nie rozjeżdżał — ale tak robił:

Kiedy miał którego z panów odwiedzić, lub mu interes wypadł jaki, że się bez drogi obejść nie mógł, kazał zawołać sześciu parobków, czterech ustawił, jak cztery konie, jednego z biczem jako woźnicę, drugiego w końcu jakby lokaja, a sam ubrany w kożuch barani, stanął we środku między woźnicą i między tym, co to był niby lokajem, i mawiał: jedź tu, a tu, a jedź galopem i trzaskaj biczem.

I tak wszyscy owi ludzie i sam bogaty młody pan, piechotą sobie jeździli — ale gdzie zajechali, naprzykład do austeryi, woźnica wołał prru! — lokaj pana pod pachy trzymał i jakby z karety wysadzał. Kiedy pan wszedł do karczmy, ludziom strawne wyliczył, i obrok na cztery konie do żłobu w stajni dać kazał — potem sute śniadanie, obiad lub kolacyę, sobie i ludziom wyprawił, za wszystko złotem zapłacił i jechał dalej albo do domu. — A jeśli w jakim dworze wizytę dawał, kiedy go lokaj meldował, panem Kożuszkiem się zwał. Przytem miał bardzo litośne serce i pańską prawdziwie duszę, bo nietylko, że ubogim dawał, cudze długi płacił, ale nawet jedną babinę, którą wojewoda za czarnoksięztwo utopić kazał, wielką summą pieniędzy od śmierci wykupił.

Taki to był ten wielki pan, każdy od niego zarobił, każdy się najadł i napił, aż miło było. I takby zawsze bywało, do samej śmierci pana, gdyby nie te psubraty hajdamackie plemienia zbójcy z czarnego boru, — oni kiedy według zwyczaju pan ze swoją służbą piechotą po świecie jeździł, jego dwór najechali, pałac spalili, a pieniądze zrabowali.

Gdy pan z drogi wrócił i to nieszczęście zobaczył, mało się nie zapamiętał, tak się zasmucił, a nic, ani słóweczka nie mówił i tylko wszystkich pożegnał i poszedł w świat.

Jak poszedł pan w świat, tak i szedł, a póki z reszty miał grosz, to połatawszy, ale jak tego zabrakło, to rób co chcesz, — i on też nie mając nic do roboty, ani z niczego żyć, w jednem królestwie, do którego z wielką wszedł biedą, za prostego żołnierza do tamtejszego wojska przystał.

W tem królestwie, król miał jedynaczkę córkę i tak piękną, że najpierwsi z królów i książąt ojca o nią prosili, ale jej żaden nie dostał, bo królewna będąc razu jednego z swoim dworem na polowaniu, zginęła i jakby kamień w wodę wrzucił, przepadła.— Król dowiedziawszy się o stracie córki, tak mu smutek przywalił serce, że się swemu ludowi nawet nie pokazywał. Naród wielce tym tknięty razem z królem się smucił.

Wielu panów i poczciwych ludzi wybrało się szukać królewny, a król ogłosić kazał: że ktoby królewnę znalazł, i do pałacu przywiódł, odda mu ją za żonę, a iż ona jedyna córka jego, mąż jej po nim będzie panował.

Poszli więc szukać królewny przeróżni królewicze i książęta, wielcy panowie i rozmaici ludzie na wszystkie świata strony — a między temi wszystkiemi był także i ów młodzieniec panem Kożuszkiem zwany, który za prostego żołnierza służył, a którego jeden chorąży zabrał z sobą. —

Idąc chorąży z żołnierzem, gdy przebywali straszny bór nieświadomi drogi błądząc, śród gęstej zarośli i skał znaleźli wielką jaskinię i w niej do podziemnych lochów otwór. Zgodnie więc uradzili, aby się tam po sznurze spuścić

i coby tam było zobaczyć — do długiego więc sznura przywiązali duży kosz i którybу z nich pierwszy spuścić się powinien, ciągnęli obydwa losy, — los wypadł na żołnierza — więc żołnierz wsiadł w kosz, a chorąży go spuszczał, i tak się umówili, że gdy żołnierz będzie w lochu, a tamby mu co złego groziło jak szarpnie sznurem, aby go chorąży wyciągnął.

Spuszczając się żołnierz do lochu, z początku widział światło z góry, które im był niżej, ginęło, aż nareszcie, kiedy stanął na ziemi, zupełnie ciemność go ogarnęła — trzymając zatem linę w jednej ręce, stąpał ostróżnie przed siebie, wyciągając naprzód drugą, aby się czołem gdzie nie uderzył — idąc w takiej ciemności, namacał na drzwi żelazne ale bez kłody i klamki, macał ręką i macał, aż znalazł wiszący łańcuch którym kiedy zadzwonił, otworzyły się drzwi, i żołnierz ujrzał maleńkiego człowieka, na łokieć wysokiego z trzy-łokciową siwą brodą, z ogromnym przy boku mieczem i z jasno palącą się pochodnią, który się go zapytał: Kto jesteś, czego żądasz? A żołnierz myśląc sobie, że taki mały staruszek nie potrafi mu nic zrobić, odpowiedział: Ja jestem z królewskiej służby, przyszedłem tu szukać królewny i gdy ją znajdę, odebrać, — rzekł na to mały staruszek: Jeśli tu chcesz śmierć znaleźć, powtórz to, coś powiedział, a ja ci się wnet przysłużę, i dobył ogromnego jak drąg miecza i machnął, a żołnierz dobył swojego pałasza i wielki miecz odbił, ale się jego pałasz wyszczerbił, karzeł drugi raz mieczem swym machnął, żołnierz drugi raz mieczem odbił, ale się jego pałasz na dwoje rozpękł.

Żołnierz widząc że z nim sto razy większa sprawa, jak on sam i z brodą nawet, z jaskini wybiegł do kosza wskoczył, za linę szarpnął, i czekający na górze chorąży, czemprędzej go wyciągnął, a drzwi z wielkim trzaskiem i łańcuchów brzękiem zawarły się. —

Wyciągniony z lochu żołnierz, opowiedział chorążemu wszystko co widział, co słyszał, i co się stało; a że z mowy owego karła miarkował, że królewna pod ziemią się znajduje, myśleli nad sposobami jej wyswobodzenia — żołnierz radził, aby chorąży także do lochu się spuścił, i jako przecie mądrzejszy inaczej sobie niż on poradził, ale chorąży nie chciał, mówiąc: ty idź, ja będę komenderował.

Koniec końcem uradzili, aby się do lochu po tak pewną śmierć nie spuszczać, lecz przy owym otworze, na przemiany wartować.

I mieli na przemiany wartować, ale że chorąży od warty się odzwyczaił, na warcie zawsze zasypiał, a żołnierz do takowej nawykły, za siebie i za niego wartował.

Tak pilnując otworu od podziemnego lochu, razu jednego o samej północy usłyszał szelest i brzęk, a że miesiąc w pełni swiecąc przez gęstwiny promienie rzucał, iżby się lepiej przekonać, a postrzeżonym nie być, za gęsty krzak się schował, i wychyliwszy głowę niewidziany wyglądał — aż tu na koniu od brylantów błyszczącym, w złocistym płaszczu jedzie rycerz uzbrojony, we mgliste szarfy, wiejące pióra przybrany, jedzie i jedzie, koń parska, rzęd na nim brzęczy i brzęczy zbroja rycerza; a miesiąc promieniem rzucał i żołnierz dobrze go widział. — Rycerz otwór przeminął, jeno tam okiem rzucił, i za skałę pojechał; tam stanąwszy mieczem trzykroć w skałę uderzył i czekał — aż za chwilę nie małą zapytano ze skały: Jak żyjesz, jak jesz i pijesz? a rycerz odpowiedział: żyję nie życiem, jadam nie syty, a piję krew niewinną, wnet spadły ciężkie zapory, skała się rozstąpiła, i rycerz wjechał do skały — a żołnierz wszystko to widział, dobrze rozmowę słyszał, lecz przed chorążym wszystko zamilczał i do drugiej nocy spokojnie czekał. Jak druga nadeszła noc, bardzo śpiącego udał, i chorąży do rana wartować musiał, a on do tejże zaszedł skały, swoim pałaszem trzykroć uderzył, a na pytanie w skale, jak rycerz poprzedniej nocy, on odpowiedział, i jak rycerzowi, rozstąpiła się skała, gdzie sobie bez trudów wszedł.

Jak żołnierz wszedł do skały, spadły ciężkie zapory i skała się zamknęła — jak się skała zamknęła, ujrzał się żołnierz zrazu wpośród ciemności i nie wiedział gdzie stąpić, gdzie się obrócić, aż blade światło błysnęło, potem jaśniej świeciło, aż potem jeszcze pokazała się stara babina z zapaloną pochodnią, która przypatrzywszy się dobrze nieproszonemu gościowi zawołała zdziwiona: O Panie, wybacz iż się zapytam po coś tu przyszedł, i tak samotnie bez ludzi, bez swego dworu? a on jej odpowiedział: —

Oho! jużem nie pan, już nie mam ludzi i nie mam dworu, ale jestem z królewskiej służby, i idąc szukać zaginionej królewny, tu wszedłem — ale zkądże mnie znasz moja babino?

— A któżby cię lepiej mógł znać nademnie, o mój panie! ja cię znam jeszcze, kiedyś

piechotą po świecie jeździł bogato i szumno — ale mi powiedz o panie, cóż się to z tobą zrobiło?

A on jej też odpowiedział, że go zbójcy zrabowali — ale to już nie o tem mowa, tylko o królewnie. —

(Dokończenie nastąpi.)

GĘŚ.

Gęś—mówił Adaś—jest ptakiem cudownie od natury uposażonym. Wprawdzie powiadają: „głupi jak gęś" i bardzo być może, iż ona niewiele ma rozumu; jednak posiada trzy przymioty, których razem u innych ptaków nie widzimy, chyba u łabędzia, u kaczki i u niewielu ptaków wodnych.

Otóż gęś daje sobie radę z trzema żywiołami: z wodą po której pływa, z powietrzem w którem lata i z ziemią po której chodzi. I jakież inne zwierzę może się poszczycić taką potrójną łatwością?

Na to Ludwik, brat Adasia tak odpowiedział:

—Masz słuszność, ale te trzy przymioty są w gęsi wcale nierozwinięte i służą jej bardzo niedokładnie. Gęś lata: nie przeczę; ale powiedz mi czy lotem dorówna orłowi? Pływa: i to prawda; ale czyż może iść o lepsze z najpowolniejszą rybą?... A chwiejący się i niepewny chód, czyż jej dozwoli iść na wyścigi z zającem?

— Dobra uwaga — dodał ojciec — ależ przewodnikiem każdego zwierzęcia jest tylko instynkt, zresztą zostaje ono takiem, jakiem je Bóg stworzył; zwierzę nie posiada sposobu rozwinięcia zdolności, któremi obdarzyła je natura. Człowiek tylko uposażony rozumem, zdolnym jest do udoskonalenia przymiotów danych mu od Boga. Jednak ten, co zbyt wiele rzeczy chciałby się wyuczyć razem, najczęściej zmarnuje swoje życie, przy schyłku którego będzie umiał wszystkiego potrochu, a nic z dokładnością. Chcąc być pewnym siebie, trzeba obrać jeden zawód, jedną sztukę lub jedno rzemiosło, a takowego wyuczyć się gruntownie:

Kto dziesięciu rzemiosł chwyta,
Sobie tylko tem dokuczy;
Bo choć głowa wyśmienita,
Nic się dobrze nie wyuczy:
Będzie z niego gęś prawdziwa,
Co źle chodzi, lata, pływa.

JASKINIA POTĘPIEŃCA.

POWIEŚĆ

— PRZEZ —

FR. XAW. TUCZYNSKIEGO.

— Do pustego gniazda!

— Ba! do pustego!.. Patrzże asan, co tu leży jeszcze rupieci. Szukajcie, może znaleziecie co waszego. Ja tego nie potrzebuję, bo te gadziny mnie nie okradły. Wy, panie Plisza, może najprędzej co wyszukacie, albo wy, panie Guliszewicz, bo was przecież okradziono.

Po całej polanie leżały porozrzucane rozmaite rzeczy. Cyganie w pośpiechu wszystkiego zabrać nie mogli, a nawet nie zmieściłoby się na łodzi, dla tego chcąc nie chcąc, nie tylko wiele swoich rzeczy, ale i dzisiejszy łup zostawić musieli, aby tylko zdrowie i życie cało unieść.

Na stronie leżały jakies ubiory porozrzucane. Plisza zbliżył się i podniósł jedno z nich. Był to jeszcze dobry kontusz.

Naraz zaczął się Plisza śmiać.

— Ha! ha! ha! panie Marucki, dalipan! ha! ha! ha! śliczny mi z waści gospodarz! ha! ha! ha! dalipan! ha! ha! ha!

Marucki się zwrócił.

— I cóż tam takiego? — zapytał urażony, — cóż waści do djabła moje gospodarstwo obchodzi?

— A no nic, panie Marucki, ha! ha! ha! dalipan, nic! — śmiał się Plisza dalej, trząsając kontuszem, — a czyjże to kontusz, a czy poznajecie? ha! ha! ha! Ja go poznaję, bom go jeszcze wczoraj na kimsiś widział, co tu stoi niedaleko. A to mi gospodarz! dalipan! Walna historya, dalipan! warta śmiechu, dalipan!

Marucki przybliżył się. Czy ma wierzyć swym oczom? Już ranna zorza niebo pozłociła — widać wszystko doskonale — mylić się nie może. To jego własny kontusz, który wczoraj wieczorem własną ręką powiesił do szafy. Wstrząsnął się... niepodobna... myli się z pewnością. Ale nie! Tu ot ta plamka na wylocie, tu ot.... nawet w kieszeni jeszcze jego fularowa chustka.

— Do kroć set milionów!... te gadziny i u mnie były! — wykrzyknął Marucki rozpaczliwie, — a ja o tem nawet nie wiedziałem. No! już się tam pewno na samym kontuszu nie obyło. O! niech ich złowię, a ze skóry obedrę, uszy poobcinam!

Śmiech powstał niemały, żarciki posypały się rzęsisto, ale wnet i śmiech i żarty ustały, bo kiedy sądzono, że tylko Plisza i Guliszewicz byli okradzeni, gdyż u nich Biankę i Grilarda złapano, okazało się, że cyganie wszystkim oddali wizytę. Każdy z przytomnych bez wyjątku, znajdował pomiędzy rupieciami coś swego.

Cały zaścianek był więc zrabowany.

W milczeniu wracali do domu z tem postanowieniem, aby zaraz wysłać fury i zwieźć to, co się jeszcze da.

Na drodze zapytał jeden.

— Powiedzno nam, waszmość panie Plisza, co i jak się właściwie stało?

Plisza zaraz zaczął.

— Dobrze. Właśnie grzmiało, deszcz lał jak z cebra. Ja i żona i dzieciska zebraliśmy się w sypialni. Co chwilę szepnę: a słowo!.... bo dalipan błysk za błyskiem, aż oczy olśniewał. Kobieta klęczy i z dzieciakami śpiewa: Pod twoją obronę — a ja chociaż nie śpiewam, jednak dalipan w duszy wtoruję. W tem trzasł piorun gdzieś blizko. Szyby zadźwięczały, w przyległym pokoju zamki zatrzeszczały. Dziwię się dalipan, że zamki trzeszczą, ale nic nie mówię, w tem znów niby trzasł zamek, chociaż an grzmotu, ani piorunu nie było. Coś się święci dalipan!... myślę sobie. Porywam więc pistolet, opatruję panewkę, biorę świecę i ruszam. Otwieram drzwi... dalipan! stoi bestya przy otwartem biurku i szuka czegoś po szufladach. Stój! dalipan!... krzyknę — złodziej w nogi, a ja paf! strzeliłem, ale gadzina uciekła. Nie wiem co ukradł, bom się zaraz puścił w pogoń, a już też i pan Guliszewicz krzyku narobił. Poznałem łotra; był to dalipan ten sam, który wczoraj pokazywał mi różne sztuki w tym właśnie pokoju.

Plisza skończył.

— U mnie było cokolwiek inaczej, — zaczął Guliszewicz. — Wiadomo wszystkim, że moja śpiżarnia ma okienko okratowane, wychodzące na podwórze. Owóż od niejakiego czasu rozgościły się tam szczury i myszy, że trzeba było szukać jakiego na nie sposobu. Wczoraj wieczorem właśnie dostałem od mego stryja kilka łapek i zastawiłem zaraz wszystkie. Żona przykazała dziewczynie, aby kilka razy w nocy zajrzała do śpiżarni, a jak co wpadnie w pastkę, wyjęła i zastawiła napowrót. Dziewczyna zrobiła sobie wygodniej.... zamiast parę razy chodzić, wzięła siennik i położyła się w śpiżarni pod oknem. — Było około północy. Grzmot straszliwy nie pozwalał ani oka zmrużyć. Czuwamy więc wszyscy. Aż naraz słyszę straszliwy krzyk ze śpiżarni. Jezus, Marya! mówię i biegnę zobaczyć. Drzwi zaparte, a jednak z zewnątrz słyszę: złodziej! złodziej! Rumocę drzwiami.... zaparte.... aż dziewka woła, aby wnijść oknem. Bezmyślnie nawet wybiegam na dwór, ale zobaczyłem tylko przy świetle błyskawicy wyskakującego łotra oknem. Pobiegłem za nim, złączyłem się z panem Pliszą. Resztę dowiemy się w domu. — Jutro jednak pojadę zaraz do pana stolnika Turajskiego, aby zakazał cyganom pokazywać się pod karą śmierci.

Jak się wykazało, prawie cały zaścianek był okradziony. Dla dopełnienia powiemy jeszcze, jak się stało u Guliszewicza. Kiedy dziewczyna dla grzmotu nie mogła usnąć, usłyszała naraz, że coś kraty wyrywa, nareszcie wchodzi okienkiem i spuszcza się na nią. W strachu niezmiernym schwyciła Grilarda — gdyż to on był — za nogi i poczęła wrzeszczeć: złodziej! złodziej!

Naturalnie Grilard przestraszył się tak samo jak i dziewczyna. Że nie mógł się wyrwać z jej objęcia, musiał użyć przemocy. Kilka silnych kułaków uwolniło go wreszcie.

Kraty u okna już za dnia podczas komedyi były zręcznie przepiłowane.

Tak więc banda cygańska, opuszczając gościnną dla nich Polskę, zostawiła pamiątkę bardzo niepodchlebną dla siebie. Skutkiem tego wyszedł rozkaz od dziedzica tych dóbr, pana Stolnika Turajskiego, aby się żaden cygan pod karą śmierci pokazać nie odważył.

Kto zwiedzał okolice Wielkopolski, ten przedewszystkiem starał się widzieć prześliczną włość, Turaj, należąca do pana Stolnika, — tak dla uprzejmości gospodarza, jak też dla malowniczego położenia. Okolica może jedyna w swoim rodzaju w całej Polsce, zwabiała ciekawych z różnych stron świata.

Sama wioska ukryta pomiędzy drzewami, widna dopiero była, gdy się do niej wchodziło, lub wjeżdżało; pałac był już widny z daleka. Nie był to jednak pałac, ale zamek. zaopatrzony w baszty, wieże i strzelnice. Silne baszty stały na narożnikach, niby olbrzymy czuwające nad bezpieczeństwem swych jaskiń, a główna wieża wystrzeliwała wysoko w górę, niby orlik z bystrem okiem, aby olbrzymy rychło jeszcze o grożącem ostrzedz niebezpieczeństwie. Do zamku przypierał ogród, któremu równego nie można było na znaczną poszukać przestrzeń. Cieniste klomby, sztuczne groty i fontanny, całe lasy najpiękniejszych drzew zagranicznych bawiły oko i napełniały duszę niewypowiedzianym urokiem. Mur sztucznie stawiany opasywał cały ogród z zamkiem, a fossa kąpała stopy muru. Silna brama i most zwodzony prowadziła do tego raju ziemskiego.

Kiedy wiosna tchnieniem ożywczem zbudziła drzewa z uśpienia, rozwinęła listki lip, akacyi i napełniła ogród upajającą wonią rozmaitego kwiecia, równocześnie i stada słowików rozpoczynały niezrównaną muzykę. O! kto wtenczas ze sercem czułem na piękność natury raz tylko spojrzał na rozwijający się obraz przed jego oczyma, raz tylko uchem zachwycił harmonijnych tonów, ten nigdy obrazu tego z duszy swej wymazać nie potrafił; i mimowolnie każdy powtarzał: „tu — raj"!

Z wieży zamkowej widok daleki, okolica cała leży przed oczyma, jak gdyby obraz przepyszny położony na stole. Z jednej strony Wisła srebrną wstęgą wije się pomiędzy łanami zboża, kołysanemi lekkim powiewem wietrzyku, z przeciwnej strony daleko widne miasteczko, ze swemi kościołami i domami. Pomiędzy zamkiem a miasteczkiem tu i tam gaiki zielonej brzeziny, nad łączkami i jeziorkami zarośla olchy, a droga szeroka, lipami obsadzona, wije się jak wąż boa rozmaitemi skrętami, aż wreszcie głowę opiera o miasteczko, kiedy ogonem kręci jeszcze w Turaju. Wzdłuż Wisły na południe las ciemny, nieprzejrzany, opierający się jedną stroną o nadbrzeża, a drugą o wysokie skaliste wzgórza. Pomiędzy lasem a wzgórzami prowadzi droga kamienista, niewygodna. Tam daleko, het! oko widza dosięga wioski, a za tą wioską jeszcze jednej, widnej tylko jako ciemna plama, niby do ziemi, niby już do nieba przybita; to są jeszcze wsie należące do dóbr pana Stolnika Turajskiego.

Czyż to już miałby być koniec dóbr Stolnika? O nie! Klucz Turaj posiada we Wielkopolsce piętnaście folwarków, na Litwie prawie tyle, a z Małopolski własne zboża spławiały flisy do Gdańska. Takim był klucz Turaj.

Uderza widza mianowicie nad kamienistą drogą wystająca góra, panująca nad całą okolicą, nawet nad lasem, a na niej dąb rozłożysty, kilkowiekowy. W tej górze znajduje się grota obszerna, prowadząca daleko w głąb. Nim dalej się postępuje, tem grota staje się węższą, niższą, aż nareszcie zniża i zwęża się do tego stopnia, że tworzy dziurę, przez którą człowiek przecisnąć się nie może. Powietrze zimne, duszne, przerażające uderza tym otworem i zmusza każdego, ktoby tam chciał wnijść, do powrotu spiesznego. Ustawiczny, niepojęty szum w otworze ciasnym napełnia każdego trwogą, a nietoperze straszne wciąż tam wlatują i wylatują.

Grotę nazywają w okolicy „jaskinią potępieńca".

Z okolicznych wieśniaków nikt nie odważyłby się tam wnijść nocą za wszystkie skarby tego świata, niejeden śmiałek już bowiem przypłacił pono życiem swoją odwagę. Widziano nieraz widmo na czarnym buchającym ogniem koniu; inną razą widziano powóz czarny zaprzężony czterema również czarnemi końmi, pędzący w największym galopie do jaskini, a nie było widać ani woźnicy, ani nikogo. Biada temu, kto tędy w północną porę przechodził, lub przejeżdżał!

W okolicy powiadają sobie ludzie następujące podanie:

Przed dawnemi, dawnemi laty, kiedy jeszcze ani Turaju, ani innych wsi nie było, tylko wszędzie lasy a lasy, żył w Polsce jakiś możny pan. Ten uciskał niezmiernie swych poddanych, rabował i palił okoliczne wsie i miasta, a nawet kościołom i sługom Bożym nie przepuszczał. Gdy się o tem król polski dowiedział, wysłał na niego zbrojne wojsko, ale ów pan zawczasu ostrzeżony uciekł i schował się z wieloma bez-

bożnymi towarzyszami tu w tej grocie. Wojsko zamek jego zniszczyło do szczętu i odciągnęło w tem przekonaniu, że okrutnik znalazł w gruzach także swój koniec. Tymczasem pan ów łupił i palił jak dawniej, zbierał ogromne skarby, a biednych podróżnych wciągał do jaskini, gdzie ich w okrutny sposób mordowano. Lecz morderca nie uszedł ani kary ziemskiej, ani kary niebios. Wojsko wysłane powtórnie pojmało okrutnego pana, towarzyszów pozabijano, a jego samego żywcem przybito do ściany jaskini. Skarby gdzieś się pono przepadły, bo ich znaleźć nie mogli. Odtąd podróżni byli spokojni, zamki, wsie i kościoły wolne były od napadów, ale za to grota stała się siedliskiem strachów. — Wszyscy sądzą, że widmo jeżdżące w karecie, lub na karym koniu, to sam okrutny pan, a dusze towarzyszy jego zostały zamienione w strasznych nietoperzy i zmuszone pilnować krzywdą ludzką nabytych skarbów. Od dawnego, dawnego czasu widmo już się nie pokazywało, bo jakiś zakonnik podróżny zaklął je, aby na świat nie wychodziło, tylko aby pilnowało skarbów razem z nietoperzami.

Od tego czasu nikt już widma nie ujrzał, bo mocą egzorcyzmu zaklęte i do miejsca przykute z jaskini wyjść nie mogło, a ze śmiertelnych nikt w głąb jaskini nie zajrzał.

Las padł później pod siekierą, olbrzymy wiekowe poszły na budowlą domów lub popłynęły w kraje dalekie, a tylko jeden został na pamiątkę nad jaskinią. Nieraz pioruny bruzdowały jego korę, wichry szumiały konarami, a dąb stał i stoi niewzruszony. Nikt też nie odważyłby się ścinać tego drzewa, aby przez to nie uwolnić potępieńca ze zaklętego miejsca.

Takie podanie krąży w okolicy. Kiedy to się stało, jak się nazywał ów pan okrutny, tego nikt nie wie, bo to bardzo dawne lata, wierzą tylko wszyscy w istnienie potępieńca, jak w ewangelię.

Stolnik Turajski nie wierzący w baśń gminną, rozkazał grotę zrewidować, a nawet osobiście poszedł do niej z pochodniami. Gdy doszli do wązkiej dziury, nikt nie śmiał dalej postąpić z obawy, aby nie wpaść w otchłań lub w wodę. Zbudzone nietoperze niezwykłym ruchem w tem miejscu, wylatywały otworem, a powiew zgniłego powietrza przeraził nawet samego Stolnika. Trzeba więc było się nawrócić.

Przy wejściu do groty widać było rzeczywiście kilka piszczeli ludzkich z wyschłą trupią głową, przybitych do skalistej ściany.

Przerażeni opuścili jaskinię.

Odtąd Stolnik nie kusił się więcej o zbadanie jaskini — wiedział tyle, że otwór ciasny musiał prowadzić do innej jeszcze groty, może obszerniejszej jak pierwsza. Z początku nie mógł się oprzeć dziwnemu wrażeniu, jakie na nim pobyt w jaskini wywarł, później jednak gdy się pierwsze wrażenie zatarło, nie uwierzył w rzeczywistość podania.

Stolnik wybudowawszy zamek w Turaju, zamienił go na stałą siedzibę dla siebie i mieszkał w nim już blizko lat trzydzieści — do czasu, w którym się nasza powieść zaczyna. Był to pan jeszcze nie stary. Wysoki, barczysty, noszący się zawsze po polsku, chociaż moda zaczęła wprowadzać krój francuzki, nie odstępował niczem od zwyczajów swych przodków, a nawet odziedziczył po nich dumę szlachecką. Wykształcenie staranne zwróciło go wprawdzie na tor łagodniejszy, obchodził się z poddanymi jak z dziećmi, w dobrach jego żaden chłop nie doznał krzywdy od niego, ani od urzędnika, jednakże „nieszlachcic” znaczyło u niego istotę tak podrzędną, że nie było warto o niej mówić. Chociaż pojedyńcze osoby przypuszczał do siebie i rozmawiał z nimi, to jednakże do całego ogółu nieszlacheckiego czuł pewien rodzaj wstrętu.

Nie było to jego osobistą wadą, ale jego sposób myślenia wypływał z ówczesnego usposobienia całego ogółu szlacheckiego. Duma z przywilejów różnemi czasy nadanych, sądziła wtenczas szlachta, że stworzona jest wyłącznie do panowania, że ciało szlachcica z lepszej ulepione gliny. Była to choroba Polski, po której śmierci dopiero poznano, że szlachcic i nieszlachcic są w obec narodu obywatelami. Nieszczęśliwa ta duma zrodziła Targowicę.

Stolnik żył jeszcze przed Targowicą, jednakże nigdyby do niej nie był przystąpił, raz że swoje osobiste widoki zawsze poświęciłby dla dobra ojczyzny, powtóre, że był zapalonym wrogiem Moskwy i wszystkiego, co było nieprzyjacielskiem. Podczas konfederacyi Barskiej sam uszykował poczet zbrojnych i na jego czele dał się strasznie Moskwie we znaki. Rana niebezpieczna zmusiła go do powrotu do Turaju. Wyleczył się wprawdzie, ale ręka prawa została na zawsze słabą, niezdolną unieść miecza.

Odtąd wspomagał ojczyznę mieniem. Po

upadku konfederacyi i pierwszym rozbiorze Polski, żył tylko dla dobra swych poddanych, których, jak już powiedziano, uważał za coś podrzędnego, jednak nie uciemiężał, owszem we wszystko zaopatrywał. Dla tego też wszyscy jego ludzie żyli w dostatkach, byli porządni, pracowici i moralni. Nic bowiem tak nie demoralizuje najniższej klasy społeczeństwa, jak sympatyczne trzymanie jej w nędzy, ubóstwie i ciemnocie. Domy porządne zewnątrz, były wygodne i obszerne wewnątrz. Dla każdej familii chłopskiej były zbudowane chlewiki, aby dobytek wygodnie pomieścić można, ztąd też każde mieszkanie było chędogie, gdyż ludzie nie byli zmuszeni inwentarza wychowywać w izbach lub sieniach, jak to jeszcze po wiele miejscach czynić muszą.

Rodzina Stolnika składała się ze żony i jedynaczki córki.

Pani Stolnikowa poważna matrona polska, pochodząca ze szeroko rozgałęzionej rodziny we Wielkopolsce, niewiele różniła się w pojęciach o szlachectwie od swego męża. Jednak wrodzony charakter anielski łagodził dumę rodową. Podczas kiedy Stolnik o śmierci poddanego mówił zupełnie obojętnie, kiedy tylko dla tego go żałował, że stracił człowieka do roboty. Stolnikowa z czystej miłości chrześciańskiej zalewała się łzami. Nie było ubogiego, któregoby nie wspomogła, nie było chorego, któregoby sama osobiście nie odwiedziła, nie było też serca, któreby dla niej najżywszem uczuciem wdzięczności nie pałało.

Córka, panna Celina, wychowana pod okiem takiej matki, musiała być samą dobrocią. W istocie tak było. Odziedziczone dobre przymioty, spotęgowane wybornem wychowaniem, ukształtowały jej ducha i zrównały z aniołami. Powierzchowność odpowiadała pięknemu duchowi. Opisywać wdzięki panny Celiny byłoby zbytecznym zapędem; niech sobie raczej każdy wystawi w duchu idealnie piękną dziewicę, a będzie miał obraz jej bardzo podobny.

Na zamku Turaju przebywał bardzo często jeszcze pan Tadeusz Cześnikiewicz, który lubo do rodziny Stolnika nie należał, wszelako wypada się z nim poznać. Cześnikiewicz był kawalerem co się zowie. Edukowany w Paryżu nabrał francuzkiej galanteryi, a z nią zarazem wstręt do dawnej prostoty staropolskiej. Ojciec wspomnionego, pozostawiwszy synowi poczciwe imie i znaczny majątek, przeniósł się do wieczności. Cześnikiewicz wolny, czujący niepohamowaną żądzę przepuszczenia pieniędzy w obcym kraju i przyjrzenia się na miejscu sposobowi noszenia fraka i żabotów, których był wielbicielem, pojechał do Paryża. Po kilku latach wrócił upudrowany, ufraczony, z trzewikami na nogach, z rożenkiem (jak szpadę wówczas pogardliwie nazywano) przy boku, a z pustkami w kieszeni. Stolnik niechętnie patrzał na Cześnikiewicza, bo lubo cenił w nim szlachetny ród i ojca jego śp. Cześnika serdecznym był przyjacielem, a nawet krewnym dalekim, jednakże to małpowanie obcych obyczajów było u niego grzechem i błazeństwem. Przyjmował go jednakże wspaniale i dość uprzejmie przez wzgląd na pamięć nieboszczyka ojca.

Cześnikiewicz przesiąkły obczyzną i nowością uważał Stolnika za szlachcica starej jeszcze daty, przywiązanego do starodawnych zwyczai, dla tego spostrzegłszy niechęć, domyślił się od razu, że Stolnika niechęci nie jego osoba, tylko ubiór. Zresztą byłby może przestał bywać na Turaju, bo obyczaje staropolskie nie przypadały mu do smaku, gdyż Stolnik nie umiał po francuzku, tylko chyba po łacinie, z czem się znowu Cześnikiewicz popisać nie mógł, ale oczy panny Celiny ściągały go, jak magnes, do Turaju.

Umysł lekki i płochy młodego dziewczęcia szybko polubi ugrzecznionego, wyelegantowanego fircyka. Bawi się nim, jak wachlarzem lub różyczką tak długo, póki inny jaki „przedmiot" nie zajmie jej umysłu na nowo. Zapomina wtedy dawnego fircyka, porzuca jak lalkę starą, a zajmuje się nową lalką do pewnego czasu. Stałego wrażenia podobna lalka na jej duszy wywrzeć nie zdoła.

Mianowicie w końcu przeszłego wieku damy nawykłe do wygolonych głów, sumiastych wąsów, złocistych pasów, złotolitych kontuszów i żupanów, patrzały na francuzkich naśladowców, jak na skaczące maryonetki. Bawiły się nimi, bo ci przywiozłszy ze sobą z Francyi zapas nigdy w Polsce niesłychanych komplementów, tańców, strojów, popisywali się, jak komedyanci przed publicznością.

Cześnikiewicz należał do ostatnich. Że panna Celina chętnie się z nim bawiła, rada przebywała w jego towarzystwie, sądził, że przed nim stoi otwarta droga do jej serca, a może

nawet, że już wszedł w jej serce. Dla tego więcej przebywał na Turaju, aniżeli na własnych dobrach. Grał z Celiną sztuki na fortepianie, śpiewał duety, towarzyszył w przejażdżkach, słowem był jej urzędowym cavalier servante.

Trwało to tak nawet lat kilka. Celina była jeszcze młoda — dziś już naturalnie panna ośmnastoletnia. Długie przebywanie z Cześnikiewiczem, oraz stateczne jego przywiązanie, usposobiło umysł panny Celiny przychylnie dla niego. Okolica cała sądziła już na pewne, że panna Stolnikówna zostanie niedługo panią Cześnikiewiczową, nawet sami rodzice zgodzili się z tą myślą, tylko młodzi nic o tem ani do siebie, ani do obcych nie mówili. Cześnikiewicz zakochał się na prawdę, panna Celina jeszcze się nie kochała, ale byłaby może jednak oświadczenie jego pomyślnie przyjęła.

Tymczasem Cześnikiewicz się nie oświadczał.

Czas upływał państwu Turajskim spokojnie, aż właśnie teraz poruszyły mieszkańców zamku głuche wieści o jaskini potępieńca. Z początku cicho, nieśmiało, potem coraz głośniej zaczęto szeptać, że strachy napowrót się zjawiają. Wieczorami, o północy pokazywała się podobno pod dębem jakaś mara; czasami stała oparta z rozkrzyżowanemi rękami, czasami nikła nagle, jakby się w pniu drzewa schowała, czasami zaś w powietrzu wisiała. Przechodzący słyszeli czasami nawet już nad ranem, wychodzące z pod ziemi niby gwizdanie, niby jęk, niby śpiew. Gwizdanie jednak nie mogło pochodzić od człowieka, bo jakieś grube, rozległe.... istny głos potępieńca.

Gdy te baśnie doszły do uszu Stolnika, nie wątpił ani momentu, że to przewidzenie lub przesłyszenie się ciemnego człowieka, który pewno szelest wiatru, lub coś innego bierze zaraz za głos nadnaturalny. W końcu pomyślał sobie, że pewno jaki filut nadużywa łatwowierności prostego ludu.

Do rozgłaszanych wieści nie przywięzywał więc żadnego znaczenia.

Był to już czas jesienny, chociaż jeszcze podług kalendarza jesieni być nie powinno. Człowiek, prawda, zmierzył długość roku, pokrajał go na cztery pory, ale jednak czas do kalendarza stósować się nie chce, a człowiek go do tego nie zmusi.

W tym czasie wyprawiał Stolnik zwyczajnie łowy. Na jutro był dzień do tego wyznaczony.

Rano już kazał Stolnik przywołać podstarościego. Była to osoba wysoka, pleczysta, z wąsem siwym, zawiesistym.... czysty typ dawnego ekonoma.

— Kazałem waćpana zawołać, — rzekł Stolnik, gdyż mam mu to i owo do zlecenia.

— Słucham JWpana Stolnika, — odpowiedział pokornie podstarości.

Wiadomo waćpanu, — mówił dalej Stolnik, — że jeszcze dzisiaj zjedzie się dużo gości na jutrzejsze łowy, a przedewszystkiem pan Miecznik Jabłowski z całym pocztem. Zechciej Wpan zarządzić, aby gościom na niczem nie brakowało.

— Stanie się podług rozkazu JWpana.

— Możesz Wpan odejść! — rzekł Stolnik powstawszy, dając podstarościemu znak, aby wyszedł.

Podstarości poszedł ku drzwiom, ale stanął, jakby jeszcze czego oczekiwał lub co chciał powiedzieć.

— Czy Wpan żądasz czego? — zapytał.

— JWpanie.... ja chciałem.... to jest — jąkał się podstarości — powiadają takie dziwne rzeczy w okolicy, że widzę potrzebę JWpanu dziwactwa te powiedzieć.

Stolnik spojrzał ciekawie na sługę.

— I cóż takiego?

— To o tej jaskini, co to....

— Milcz asan! — rzekł gniewnie Stolnik, — jeśliś asan tak ciemny, jak stare baby, to sobie plotkuj z niemi, ale mnie żadnych baśni, ani głupstw nie znoś! Można odejść!

Podstarości zmięszany wyszedł.

Stolnik się rozśmiał.

— Co to babskie plotki mogą, — rzekł sam do siebie, — nawet starego Jana, który niejednemu Moskalowi głowę zdjął z karku, jeszcze bodaj strachu nabawić mogą. Żeby mi aby w zamku tych banialuk nie rozsiewano.

To mówiąc, poszedł do dzwonka i zadzwonił. Zaraz wszedł służący.

— Zawołaj mi natychmiast podstarościego!

Służący wyszedł, a niezadługo wszedł natychmiast podstarości, nie mało tem powtórnem zawezwaniem zdziwiony.

Stolnik zwrócił się do niego i rzekł:

— Słuchaj wasze! napomknąłeś mi c stra-

chach, których nikt pewno nie widział; gadasz pewno o nich każdemu. Zakazuję więc niniejszem mówić o tem w zamku! Żeby mi się żadna z kobiet tego nie dowiedziała, a jeśli kto będzie o tem gadał, Wpan za to odpowiesz!

Na skinienie podstarości wyszedł, a Stolnik zwrócił się do okna, bo już jeden z gości zajechał.

Od samego południa zbierają się różni lubownicy polowania ze wszystkich stron Polski. Wąsaci i niewąsaci, karmazyni i szaraczkowi — wszystko się uwija, kręci i robi przygotowania na jutrzejsze łowy. Lasy turajskie bardzo rozległe, zwierza grubego huk, będzie się czem pobawić. Będzie co kulą sięgnąć, a nawet wziąść i na oszczep. Najsławniejsi myśliwi tego czasu zjeżdżali się, bo mało co lasów podobnych w Koronie, jak pana Stolnika, tylko Litwa góruje.

Na dziedzińcu i na zamku pełno wrzawy, rzekłbyś, że to chmura konfederatów, gotujących się na wyprawę. Za grubo byłbyś się też nie omylił, bo strzelcy byliby tak ochoczo poszli na moskiewskiego dwunożnego zwierza, jak na czteronożnego leśnego dzika lub jelenia.

Główną osobą, najbardziej szanowaną, był pan Miecznik Jabłowski, który żadnych łowów na turajskich lasach nie opuszczał. Jeszcze nie przybył; każdy z upragnieniem oczekiwał go. Zbliżył się i wieczór, a pana Miecznika jak nie ma, tak nie ma. Albo chory? albo co? łamał sobie niejeden głowę. Pan Miecznik był powszechnie lubionym i estymowanym, bo i potentat nie lada, łowiec czternastej próby, a gościnny jak Piast.

Owóż dopiero coś około dziesiątej wieczorem trzask z bicza, trąbka na wieży i zgrzyt żelaznego mostu, oznajmiły spodziewanego gościa. Zgromadzeni wybiegli hurmem na ganek. Wieczór jesienny — lubo księżyc był w pełni, jednak chmurami zakryty — ciemność na dworze niesłychana. Ale ganek i dziedziniec rzęsisto był oświetlony.

Stolnik z Miecznikiem uściskali się.

— Waszmość panie Mieczniku, — rzekł Stolnik, — napędziliście nam nie małego Pietrka! myśleliśmy, że nie przyjedziesz.

— Darujcie panowie bracia, darujcie, — wołał Miecznik rozrzewniony serdecznem przyjęciem, — zgrzeszyłem chociaż nie z umysłu, proszę tedy o pokutę.

— Musisz u mnie za to dłużej zabawić, niż zwykle, — rzekł wesoło Stolnik, wprowadzając gościa do sali, — już tu waszmości pokutę zadamy, która i inne jego grzechy zmaże.

Roześmiali się wszyscy na to serdecznie.

Miecznik nie był starszym od Stolnika. Lubo był wesoły, rozmowny, jednakże twarz miał napiętnowaną owem cichem zmartwieniem, które powoli człowieka prowadzi do grobu. Głowę nosił wygoloną, tylko na czubie zostawał mu kosmyk włosów, a wąs siwy zwieszał się po obu stronach twarzy. Żupan miał biały, spięty dyamentową spinką pod szyją, a na nim kontusz, podbity karmazynem.

Po przybyciu Miecznika rozpoczęła się zaraz wieczerza. Ze względu na to, że jutro trzeba być rychło na nogach, uczta za nadto długo nie trwała.

W nocy rozeszły się chmury i rano zwiastowało pomyślną dla łowców pogodę. Z pierwszym brzaskiem zanucili strzelcy pod zamkowemi oknami pieśń poranną, a następnie pieśń myśliwską: „Wstawajcie bracia, bo już słońce wstaje"! Na to hasło powsiadali łowcy na gotowe konie — trąba zagrzmiała, most opadł i cały orszak kłusem ruszył ku kniei.

Miecznik ze Stolnikiem wybiegli daleko naprzód.

Wiemy, że jaskinia potępieńca leżała nad drogą przy lesie. Łowcy musieli koniecznie tędy przejeżdżać.

Miecznik ze Stolnikiem pierwsi dojeżdżali i obaj ciekawie przypatrywali się miejscu, o którem tyle dziwnych powieści krążyło.

— A owóż owa jaskinia potępieńca! — rzekł pierwszy Stolnik, wskazując ręką, — słyszałeś, panie Mieczniku, co o tej grocie rozpowiadają?

— Słyszałem, — odpowiedział Miecznik, — słyszałem już przed wielu laty. Nie wierzyłem temu i nie wierzę. Wczoraj jednak stało się tu coś takiego, co mnie istotnie wprawia w zadziwienie.

Stolnik ciekawie spojrzał, a Miecznik ciągnął dalej:

— Wiadomo ci, panie Stolniku, że droga moja tędy wypada. Owóż jadąc sobie wczoraj w najlepszej myśli, nagle, właśnie przed grotą, spadło mi koło. Zdziwiłem się mocno, bo wóz mój przecież nie gruchot. Pachołcy zeskoczyli, ale koło jakby przepadło. Latarnie się świeciły,

jednak koła znaleźć nie można. Czy czary? czy co? a słowo Bozkie! pomyślałem w duszy, a w tym samym momencie zjawia się człowiek najdziwaczniej ubrany, trzyma koło w ręku, bez proszenia podnosi karetę ze mną razem i wprawia koło jak najlepszy rzemieślnik. Stało się to tak nagle, niespodzianie, że nie mogłem z początku ani słowa wymówić, a gdym zdołał zapytać: ktoś ty? — już widziadło znikło. Długi czas stałem, nie śmiejąc dać znaku do odjazdu aż nowe zjawisko przejęło nas dreszczem: gdzieś z pod ziemi słyszę jakiś pisk, czy gwizdanie — głos rzewny, przeciągły. W Imię Ojca.... przeżegnałem się, słudzy tak samo i pędem odjechałem. Proszę mi teraz wytłumaczyć, panie Stolniku! Nie mogę uwierzyć, abym samego kusiciela widział, jednak rozum mój nie wystarcza na zbadanie tego zjawiska.

OBRONA CZĘSTOCHOWY.

Szwedzi, posiadając całą prawie Polskę, pragnęli zająć także Częstochowę, aby zrabować nagromadzone tamże skarby. W Częstochowie znajdował się od r. 1382 cudowny obraz N. Maryi Panny, który podług pobożnego podania, ś. Łukasz Ewangielista wymalował. Sławną była Częstochowa na całą Polskę już w owe czasy. Przyszło tedy 9000 Szwedów pod Częstochowę, gdy w klasztorze ledwie 400 ludzi zdatnych było do obrony. Słabą była nadzieja obrony świętego miejsca. Był atoli w klasztorze mąż pobożny, pełen silnej woli i poświęcenia dla ojczyzny. Tym mężem był ks. Augustyn Kordecki, przeor klasztoru. Odrzucił on wszelkie układy poddania klasztoru, a dniem i nocą zagrzewał garstkę rycerzy do obrony. Kiedy Szwedzi darli się po drabinach na mury, wtedy ks. Kordecki z krzyżem w ręku zachęcał do męztwa polskiego żołnierza. Na 17 str. przedstawia obrazek szturmujących Szwedów i broniących się Polaków. Ks. Kordecki z natchnionem obliczem wskazując na chorągiew z obrazem Bogarodzicy, do obrony wzywa. I Bóg pobłogosławił cnym usiłowaniom szlachetnego kapłana, tak iż Szwedzi z hańbą od oblężenia odstąpili, wiele wojska utraciwszy. N.M.Panna cudownie klasztor swój ocaliła, gdyż widziano Ją jak płaszczem świątynię zasłaniała, a kulę ogniste na klasztor rzucane, albo bez obrazy przelatywały, lub od murów się odbijały. Dzielna ta obrona obudziła cały naród z uśpienia. Rzucili się wszyscy na Szweda, a choć zaciętą była walka, gdyż połączyli się z nim Niemcy Brandenburgii i Siedmiogrodzianie, jednakże w końcu Szwedów z Polski wygnano. To pamiętne oblężenie Częstochowy opisał ks. Kordecki w książce pod napisem „Gigan omachia", gdzie n.p. czytamy następny ustęp, który i dziś można zastósować:

„Ale co przedewszystkiem zważyć i mieć w sercu należy, to, że sprawa Kościoła i Polski, sprawa naszej kochanej Ojczyzny, polega teraz na nas, na nas samych tylko. Jeżeli Bóg zamierzył zbawić Polskę, o czem wątpić byłoby niegodnie, z tej tu opoki jasnogórskiej wytryśnie strumień polskiego życia; bo na całej ziemi rzeczypospolitej najechanej i splądrowanej, nie masz nieskażonego i wolnego miejsca, prócz tej skały, gdzie Przenajświętsza Dziewica tron sobie postawiła i gdzie przeto będzie stolica chwały. Ta sama moc, która leczy niewidome cierpienia jednego człowieka, wyleje się ztąd jak ze źródła życia i zdrowia na cały naród, odświeży, pokrzepi prowincye i miasta, widome członki rzeczypospolitej, aby się okazało i zaprawdę powiadam wam, iż się okaże, że Polska nie czem innem powstanie, tylko miłosierdziem królowej, która tu mieszka między nami".

W JAKI SPOSÓB DOCHODZI SIĘ DO BOGACTWA.

Znany bogacz filantrop amerykański, Piotr Cooper, który niedawno temu obchodził 90 rocznicę urodzin, dla uczczenia tej uroczystości przesłał dyrektorom założonego przez się instytutu Cooper'a 100,000 dolarów na powiększenie oddziału sztuki i nauki. Dotychczas tedy Cooper ofiarował już dolarów 2,100,000 na cele wychowawcze, w postaci przyrządów, b blioteki, jak również pod formą własności ziemskich i budynków. W dniu urodzin zacnego filantropa odbyły się wielkie uroczystości tak w instytucie jego imienia, jak i w prywatnem mieszkaniu.

Na zapytanie, w jaki sposób doszedł do swojego wielkiego bogactwa, sędziwy, jubilat odrzekł: „Przede wszystkiem nauczyłem się trzech rzemiosł: piwowarstwa, fabrykacyi powozów i machin. Pracowałem przez lat trzy za 1 dol. 50 centów dziennie, co mi pozwalało przy ówczesnych tanich cenach i mojej oszczędności odkładać mały fundusik. Robiłem nożyczki do sukna, na które następnie wykupiłem patent i fabrykowałem je na własny rachunek; było to przed wojną r. 1812. W dalszym ciągu powiększyłem interes i wziąłem sobie za zasadę nie zaciągać nigdy długów i nie pamiętam, abym od czasu, kiedy zacząłem prowadzić przedsiębiorstwo, nie był w każdej chwili w stanie wypełnić wszystkich moich zobowiązań. Nie wydałem nigdy pieniędzy, nie zarobiwszy ich poprzednio. Miałem się zawsze na baczności przed bankami i nigdy nie prosiłem żadnego banku o przysługę. Nie dyskontowałem nigdy weksli, trzymałem się stale zasady natychmiastowego wypłacenia. Winienem jeszcze dodać tutaj, iż każdy dolar zarobiłem pracą a nie spekulacyą".

(*Orędownik.*)